

PSEUDO-ANTISTENES

Károly Kerényi

Wstęp

Ten mały a szczególnie dialog, którego wierny, może nawet nazbyt wierny przekład tu publikujemy, został przygotowany do druku przez Giacomo Cassone, zmarłego niedawno filologa z Urbino. Z pism, jakie pozostawił, wiemy jedynie, że Konstantinos Lascaris pragnął około roku 1494 drukować *Editio princeps* tego dzieła z kodeksu daleko wcześniejszego (od 1712 w Madrycie, I Iriate, Bibl. Matrit. Codd. gr. 1769, I. 290), darowanego później Messynie-miastu, który, jak się zdaje, zagubiony został w czasie wysyłki tego zbioru do Palermo, a stamtąd do Hiszpanii. To wydanie miało zawierać również dialog o koncepcji życia rzekomego Cebete z Teb, o którego autentyczności Lascaris nie wątpił, jakkolwiek w swym wstępie do naszego dialogu, napisanym – według Cassone – niemal dla usprawiedliwienia się za „ewidentną falsyfikację, ponieważ uczoney Diogenes Laertes wyraźnie mówi, że rozmowa Antistenesa nosząca tytuł *Saton*, w której szydzi on z boskiego Platona i zwraca uwagę na zawartą w niej sprzeczność, mimo wszystko zasługuje na lekturę, biorąc pod uwagę, iż nasza epoka jest do tego stopnia wykształcona, że już nikogo nie można wprowadzić w błąd, a niecny falsyfikator wydaje się już tylko jakimś wcale udałym młodzieniaszkiem”. Jedynie *Erotemata* (podręcznik gramatyki greckiej Lascarisa), przypisane Pseudo-Cebete, wydrukowane zostały po raz wtóry między 1498 a 1502 w edycji Aldo, podczas gdy poezje dydaktyczne Pseudo-Pitagorasa i Pseudo-Focylidesa, które z całą pewnością lepiej utrafiły w jego bliskie bizantyjskim upodobania, ukazały się już w 1494-1495 w Wenecji u Aldo. Także Leopardi miał zamiar wydać i przełożyć ten dialog – za Cassone – niedługo przed śmiercią. W samej rzeczy większa jasność co do filozoficznej genealogii tego Pseudo-Antistenesa pochodzi z cytatu z *Detti memorabili di Filippo Ottonieri*, który przytacza Cassone w swym rękopisie jako motto: „Negava che alcuno a questi tempi possa amare senza rivale: e dimandato del perché, rispondeva: perché certo l'amato e l'amata è rivale ardentissimo dell'amante”*

Károly Kerényi

*, „Zaprzeczał, że w tych czasach ktoś mógłby kochać, nie mając rywala: a zapytany dlaczego, odpowiadał: ponieważ na pewno ukochany czy ukochana jest gorejącym rywalem tego, który kocha”.

Przekład na podstawie wydania Istituto di Storia Antica – Università di Palermo 1997: Károly Kerényi *Pseudo-Antistene, Conversazioni sull'Amore. Saggio introduttivo e traduzione di Antonino Infranca (In occasione del centenario della nascita di Károlyi Kerényi 1897-1997).*

I diritti alla presente edizione sono stati gentilmente concessi da Dr. Cornelia Isler-Kerényi CH 8703 Erlenbach

S O K R A T E S:

Przedwczoraj wracaliśmy do domu od ołtarza Erosa akademickiego, ja oraz piękny Alcybiades i Fedrus, syn Fitoklesa, który Bogom został poświęcony, kiedy to zobaczyłem Satona, jak siedział w swym ogrodzie przy stoliku; było tam wraz z nim trochę służby, niosącej przybory do pisania. „Na Heraklesa! Satonie – zawołałem – czy jesteś tu już od pewnego czasu czy też przybyłeś w tych ostatnich dniach?”

„Przedwczoraj” – odparł.

„A przebyłeś wielką drogę?” – pytam. „Powiadają, że wydarzyło ci się wiele cudownych rzeczy”.

„Czy mówią to ci, którzy wiedzą, co to jest rzecz cudowna, czy ci, którzy tego nie wiedzą?”.

Zdziwiło mnie to cięte pytanie i nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

„Widzisz, Sokratesie – mówi – pytasz o głupstwa, kiedy to nie ma obok ciebie żadnego inteligentnego młodzieńca, który by zatroszczył się o to, żeby ci przyjść z pomocą – jak Jolye z Heraklesem, powiadają – i poprawić to, w czym się mylisz”.

Czując się zawstydzony, czy to z uwagi na miłość własną, czy na dwóch młodzieńców mi towarzyszących, tak powiedziałem: „Monarchowie prawią o swych zastawionych stołach, mój Satonie...”.

Lecz przerywając, powiedział mi: „Przypominasz sobie, Sokratesie, cośmy już przeszłości ustalili?”.

„Co takiego?” – pytam.

„Że nikt z własnej woli nie popełnia coś złego” – powiada.

„Zasłużyłbym, Satonie, na współczucie, gdybym nie pamiętał tego i jeszcze teraz nie uznawał, że jest prawdziwe”.

„A zatem kto czyni zło, ten, który wie, czym jest zło, czy też nie wie?”.

„Ten, który nie wie”.

„Zgodnie z tym człowiek zły to ignorant?”.

„Tak właśnie powiedziałem”.

„I im silniejsza jest jego niewiedza, tym bardziej jest zły?”.

„Także o tym powiedziałem, że tak”.

„A kto jest bardziej zły – pyta – ten, który nie wiedząc, czym jest zło, je popełnia, a raczej tylko wyobrażając sobie, że to przynosi jedynie korzyść dla siebie, czy ten, który ze swej strony nie wyobraża sobie niczego, a po prostu je popełnia?”.

„Nie rozumiem” – mówię ja.

„A więc rozpatrz sprawę w taki sposób”.

„W jaki sposób?” – pytam.

„Prawda zawiera wielkie dobro?”.

„Na psa urok, na boga egipskiego – mówię – jest największe”.

Osoby:

SOKRATES

DIOTYMA

S.: Diotymo, już od dawna pragnę Cię poprosić o udzielenie mi lekcji na temat nauki o miłości, a wiadomo, że znasz się na wszystkim, a już szczególnie na tej właśnie materii; ja natomiast mogę o sobie tylko tyle powiedzieć, że jestem w niej całkowitym ignorantem.

D.: Twoim zwyczajem maskujesz się, Sokratesie, jak gdyby nie było wszystkim wiadomo, że nieustannie zalecasz się do wszystkich przystojniaków.

S.: Właśnie dlatego, że jestem w tej wiedzy ignorantem, zawsze szukam ich towarzystwa. W samej rzeczy, kiedy zobaczę jednego z nich, natychmiast zapala się we mnie miłość, jakby podobna do młodego źrebaka, którego ciało drży całe i który grzebie kopytami, a nie da się okiełznać ani ugłaskać, tak że zaprawdę trudno jest go ujarzmić! I tak w nadziei, że uda mi się go poderwać za lejce, zawsze się zbliżam do owych największych piękniśców i zawsze bez rezultatu, tak, że jeżeli nie zechcesz przyjść mi z pomocą, będę musiał do końca mego żywota żyć w takiej największej ignorancji.

D.: Czy chcesz, Sokratesie, ażebym ujarzmiła boga? Czyżbyś nie wiedział, że dla śmiertelnika *jest mimo wszystko rzeczą bardzo problematyczną wyprowadzić boga z walki?*

S.: Nawet często to słyszałem i właśnie dlatego zwróciłem się do ciebie, która się znasz na poświęceniach i przecuciach, a często jesteś bardzo blisko samych bogów.

D.: A czy nie myślisz, Sokratesie, że również Amor może przybierać formę równie wielokształtną jak Proteusz?

S.: Na jakże straszne trudności mnie narażasz! Z całą pewnością łatwo mu przychodzi przybrać formę czy lwa, czy pantery, albo ognia, a kiedy zmieni się w wodę, to ni stąd ni zowąd przejdzie nam w okamgnieniu między palcami.

D.: Odwagi, Sokratesie, ponieważ stoję u twego boku – jak mawiał Homer – jak Idotea przy Menelaosie.

S.: Co zatem muszę przede wszystkim robić?

D.: Och, nieszczęsny!

S.: Cóż za problem, Idoteo?

D.: W samej rzeczy nie masz towarzyszy, Sokratesie. Homer natomiast powiada, iż Menelaos związał boga z pomocą trzech towarzyszy.

S.: Może zawołam Alcybiadesa, Fedrusa i Kritobulosa.

D.: Pozostań, na bogów, gdzie jesteś, ponieważ jeżeli Amor by ich usłyszał, w żaden sposób nie potrafimy go później oblaskawić. *Kogo innego zawołam do ciebie*, a to wspaniałego ratownika, który równać się będzie nawet trzem innym.

S.: A kto to taki?

D.: Anakreont, wielki mędrzec w nauce o miłości.

S.: Na Herę, mówisz o półbogu! Jakże to?

D.: Nie przypominasz sobie tej canzony, w której wychwala Dionizosa, a wraz z nim *młodego byka*, Amora?

S.: Cóż znowu, często mam zwyczaj westchnąć w samym środku bankietu za tą właśnie canzoną.

D.: Pochwyćmy miłość, Sokratesie, a utrzymajmy ją całą mocą.

S.: Zdradź mi natychmiast, gdzie się znajduje i dlaczego jej nie widzę!

D.: Na Heraklesa, ona właśnie w nim jest, *w młodym byku!*

S.: Nigdy bym nie powiedział, że tak naprawdę to Amor jest bykiem!

D.: Nie wierzysz Anakreontowi?

S.: Odwrotnie, bardzo w to wierzę, i tylko nie rozumiem, jak to możliwe, że to zwierzę jest bogiem?

D.: Bądź ostrożny z twym językiem, Sokratesie, czyżbyś nie słyszał, że za sprawą miłości również Amor przemienił się w byka?

S.: Mówisz po prawdzie.

D.: Czy nie powiedzieliśmy już sobie, że Amor jest jakże wielokształtnym bogiem?

S.: No tak.

D.: A nawet łatwo, Sokratesie, przyjąć, że to wcale nie ten bóg, którego chcemy pojmać, a raczej jakiś inny Amor, który przypadkowo dostał się w nasze ręce. Ponieważ bogów jest wiele, czy to na ziemi, czy w niebie.

S.: Jakże wieszczą się wyrażasz, Diotymo! Czy mogłabyś objaśnić to, co powiedziałaś?

D.: To wielki sekret, Sokratesie, Tobie jednak go wyjawię. Odpowiedz.

S.: Pytaj zatem.

D.: Miłość to pożądanie jakiejś rzeczy, nieprawdaż?

S.: Naturalnie.

D.: Na dobre czy na złe?

S.: Na dobre.

D.: A gdyby zatem ktoś zapytał: „Dlaczego miłość jest pożądaniem czegoś dobrego, Sokratesie i Diotymo?”. A może trochę jaśniej w taki sposób: „Kochający pożąda czegoś dobrego, ponieważ tego pożąda?”. Cóż byśmy wtedy odpowiedzieli?

S.: Że będzie to dla niego jakimś dobrem.

D.: Kochający pragnie zatem czegoś dobrego dla siebie samego?

S.: Tak.

D.: A później? Dla tego, którego kocha, nie pragnie niczego dobrego?

S.: Naturalnie, że pragnie.

D.: A może pragnie dlań tego jeszcze bardziej?

S.: Przypuszczalnie.

D.: Zatem im bardziej go kocha, tym bardziej pragnie dlań dobra?

S.: Naturalnie.

D.: Co też mówisz! Jeżeli zatem kocha go mniej, albo w ogóle go nie kocha, wówczas pragnie dlań mniej dobra albo nie pragnie go dlań wcale?

S.: Tak by wyglądało.

D.: Lecz pragnie tego dobrego dla siebie samego, czy też i dla innych?

S.: Pragnie też dla innych.

D.: Tak, żeby i on je miał?

S.: Tak.

D.: Zatem miłość nie jest pragnieniem dobra dla kogoś, kto pożąda, lecz, Sokratesie, byliśmy tego zdania, że również kto nie kocha, też pragnie dobra dla siebie samego?

S.: Z całą pewnością tak jest, a nasze poprzednie uzgodnienie tym samym rozwiąło się.

D.: Może niekoniecznie jest tak, Sokratesie. Powiedz mi zatem: „Kochający kocha tego, któremu życzy największego dobra z możliwych?”.

S.: Z całą pewnością.

D.: A zatem kocha samego siebie ten, kto pragnie dobra jedynie dla siebie samego?

S.: Diotymo, czy myślisz, że my wszyscy znamy miłość w ten właśnie sposób!?

D.: Czy nie jest prawdą, że tak właśnie należy rozumieć przepowiednię Apollona Klariosa?

S.: Którą?

D.: Tę o miłości, którą powiedział Filipowi z Nubii. „Nikt nigdy nie potrafi być kochającym bez towarzysza w tym pożądaniu”.

S.: Diotymo, nie rozumiem!

D.: Przecież ten, co kocha, jest najbardziej płomiennym towarzyszem pożądanego ze strony ukochanego.

S.: Boskie rozwiązanie mądrości boskiej!

D.: Jest to najważniejsza rzecz w całej wiedzy o miłości. Lecz gdyby Anakreont, owładnięty oburzeniem, tak się wyraził: „Sokratesie i Diotymo, zapomnieliście o moim młodym byczku? Jeżeli już zwróciliście się do mnie o pomoc, dosyć teraz tej gadaniny i tych głupot, raczej zaśpiewajcie coś pięknego o Amorze. Więc co teraz byście powiedzieli?”.

S.: Na Herę, nie wiem!

D.: Czy to nie prawda, że może moglibyśmy odpowiedzieć w taki oto sposób: „O jakimże to Amorze, Anakreontcie? Czy nie widzisz, że ogarnęła nas wielka konfuzja? Że z wielkim trudem

odkryliśmy, iż istnieją dwa rodzaje kochających i dwa rodzaje Amora: jeden, to kochający z miłością drugiego, drugi zaś to kochający, a kochający siebie samego. Powiedz zatem, ty, który jesteś znawcą wiedzy o miłości, gdzie jest Prawda i który z nich jest prawdziwym bogiem?”. Jak, Sokratesie, myślisz, co by Anakreont odpowiedział?

S.: Że to miłość drugiego.

D.: A czy nie zapytalibyśmy go również w taki sposób: „Anakreencie, jak to się dzieje, że ten drugi, Amor siebie samego, ma nad ludźmi najwięcej władzy, a jeżeli można wierzyć Homerowi, tak jest również u bogów?”. Nie zapytalibyśmy o to, Sokratesie?

S.: Zapewne, z najwyższą chęcią chciałbym usłyszeć odpowiedź!

D.: Jesteś dziecinny, Sokratesie, ponieważ podoba ci się pytać mędrców o rzeczy, na które nie wiedzą, jak odpowiedzieć. Czyż nie lepiej odwiedzić powtórnie byka, biorąc pod uwagę, co już uzgodniliśmy, że Amor siebie samego nie jest Amorem drugiego, lecz, żeby tak powiedzieć, gdyby go porównywać: czego to miłość?

S.: To prawda, co mówisz, ponieważ z wielkim trudem zaczynam to rozumieć.

D.: Nie spostrzegłeś jeszcze, Sokratesie, w jakim szczególnym stanie znajdują się zwierzęta z nadejściem wiosny, zarówno czworonogie, jak i ptaki? Wszystkie jakby chore, a opanowało je pragnienie miłości, naprzód, żeby się parzyć wzajemnie, a później, żeby skłonić się do obrony i do wykarmienia swych dzieci. Wszystkie, również te najsłabsze i najbardziej bojaźliwe, wszystkie one upodobniają się do nieposkromionego byka...

S.: Nawet ludzi widziałem w takim stanie, a zawsze byłem przekonany, iż są wielkimi miłośnikami.

D.: A co teraz, Sokratesie, mógłbyś rzec, biorąc pod uwagę to, z czym zgodziliśmy się poprzednio?

S.: Pytasz o rzeczy trudne, Diotymo, a ja jestem teraz przekonany, że nigdy nie zrozumieję nauki o miłości, jeżeli to ty mnie jej nie nauczysz.

D.: Posłuchaj więc, chyba się z tym zgodzisz. Może jest tak, że wraz z miłością siebie samego kochający jest tym, który pragnie dla siebie nieśmiertelności i tylko z tego powodu zapomina o wszystkim i o wszystkich, zarówno o tych wśród reszty ludzi, którzy nie mogą mu pomóc w osiągnięciu nieśmiertelności, ani o tych rzeczach, które nie mają nic do osiągnięcia przezeń nieśmiertelności, stąd zaczyna po prostu majaczyć, jak ktoś opętany przez bogów?

S.: Miłość samego siebie to ten właśnie bóg, o Diotymo, i dokładnie w swej szalonej i nieznaną miary sile i władzy.

D.: Doprawdy dobrze mówisz, Sokratesie, a z wiedzy o miłości już rozumiesz niemało. Zatem nie zdziwisz się teraz, kiedy odkrywamy, że ten młody byk okazuje się owym młodym bogiem. A jako że z natury śmiertelny jest, jak nigdy chciałby być nieśmiertelnym. Ale jedynie wraz z prokreacją i urodzeniem się jest możliwe, żeby ktoś młody wszedł na miejsce starego, żadne istnienie nie pozostaje niezmiennie aż do śmierci, mimo iż nazywane bywa w taki sam sposób, ono raczej stale umiera i odradza się, jak włos, jak mięso, jak kości, jak krew, jak w ogóle całe ciało. Czy to człowiek, czy zwierzę pragną takiego swojego odrodzenia swym pragnieniem miłości, kiedy to o władnięci zostają przez tego boga – tak, Sokratesie – a nie kochają prawdziwie tego drugiego i nawet z jego pomocą nie chcieliby osiągnąć nieśmiertelności.

S.: Zatem, Diotymo, możemy pozostawić w spokoju tego byka, ponieważ mimo iż jest doprawdy wielkim bogiem, my jednak szukamy innego.

D.: Nie chciałbyś go spytać, czy jest tak wielkim bogiem, jako że ma taką, jak wiemy, figurę?

S.: Tak, lecz boję się popełnić jakieś świętokradztwo, pytając go o to.

D.: Nie bój się, Sokratesie, lecz jeżeli już jesteś do tego stopnia pełen szacunku wobec bogów, to ja ci to powiem. Ten bóg jest w samej rzeczy bogiem wszystkich zwierząt, i to w większym stopniu niż ludzi, a ty chyba nigdy nie czytałeś najmądrzejszego Ksenofonta, że gdyby zwierzęta mogły rysować swych bogów, narysowałyby ich w formie zwierząt.

S.: Czytałem i bardzo się zdumiałem, że i zwierzęta, i Ksenofont mają rację.

D.: Naturalnie, a jest tak, że widzimy, jak wszyscy opętani przez bóstwa jak najbardziej upodobniają się do byka!

S.: Idź sobie, o drogi młody byku, Amorze, wybacz to twoje uwięzienie, a w sprawach miłości zachowaj życzliwość i miłosierdzie dla Diotymy i dla mnie, a jesteśmy w twojej władzy i możemy posiadać nieśmiertelność za pomocą swych dzieci i swych wnuków. Nawet gdybyśmy tego nie chcieli, zmusiłbyś nas do tego i pewnej nocy, kiedy nawet nie spostrzeżliśmy tego, wprowadziłeś do naszego domu ów drogocenny dar nieśmiertelności!

D.: Błagam o to również i ja, Sokratesie, ponieważ nie jest sprawa błahą, kiedy bóstwo tak wszechmocne wspomaga człowieka. Chociaż w kwestii, którą się trapimy, trudno o jakąś pomoc.

S.: Cóż więc zrobimy, Diotymo? A może powiem od razu to, co niespodziewanie przyszło mi teraz do głowy?

D.: Oczywiście, a od razu znajdziemy, Sokratesie, ten skarb, przyjdź z twoją mądrą radą, ze swym rozsądkiem, z tym, co wiesz ze słyszenia, kiedy już zaprawdę nie wiemy do kogo się zwrócić!

S.: Jak usłyszałem, Diotymo, od słynnych filozofów, dla prawdziwie wolnego człowieka stosowną miłością jest ta oparta na zainteresowaniu ludźmi pięknymi. Im to winniśmy wyświadczać uprzejmości i – jak mówi się – z podarkami, a słowami dobrze dobranymi i wyrazistymi uzyskiwać ich względy...

D.: I siedzieć im na karku, gdzie tylko by się znaleźli na zajęciach z prowadzącymi gimnastykę, na salach gimnastycznych, w ogrodach sanktuariów, na agorze i w teatrze podczas wielkich świąt i w różnych pochodach? Słowem, gdziekolwiek tylko można pomyśleć, że można ich spotkać jest okazja do wymiany z nimi paru słów?

S.: Tak, tak właśnie mówią.

D.: I nawet tak robią, Sokratesie. A poza tym co najmniej tego nie możesz zaprzeczyć, iż jesteś kimś bardzo doświadczoneym! Zaś nadto miłośników tych przystojniaków można zobaczyć, jak poruszają się z oczami wlepionymi wokół sal gimnastycznych i młodzieżowych miejsc rozrywkowych.

S.: Zachwycające są twoje kobiece oczy, Diotymo!

D.: Czy nie przypuszczasz, że tacy miłośnicy biegają również za dziewczynami i paniami?

S.: Mówisz rzeczy niemożliwe, Diotymo!

D.: Jesteś dziecinny, nie spostrzegłeś dotąd, że cudzołóżnicy kręcą się dokoła murów domowych! Nie napotkałeś nigdy młodych, którzy nocą, wypiwszy nieco, dobijają się do drzwi u Duri czy u Battalo? Pośród nich wszystkich ci, myślę, są najbardziej inteligentni, jako że zabezpieczają sobie obolem to, za czym większość z nich ryzykuje życiem i honorem, albo też całymi tygodniami węszy za odciskiem stopy tych przystojniaków na pyłe ulicznym. Ten gatunek kochającego staje mi się najbardziej podobny do psa, który węszy po wszystkich kątach za śladami innego psa, a kiedy spostrzeże go przy końcu drugiej strony ulicy, biegnie mu naprzeciw z wywieszonym językiem i nawet wytrzymuje niezłe ciągi kijami, byleby tylko doń się zbliżyć.

S.: Twój wywód jest jasny i wiele wyjaśnia także innym, Diotymo, jako że jest właściwy dla kapłanki, a nie dla filozofa, przynajmniej zgodnie z sądami tych słynnych ludzi, których dopiero co wymieniałem!

D.: Dla filozofa czy nie dla filozofa, niewiele to znaczy, ważne jest, że określiliśmy na nowo pewien rodzaj Amora.

S.: Nie widzę tu w żadnym miejscu jakiegoś boga.

D.: A więc, czy nie powiedzieliśmy już, że ci, którzy są opętani przez boga, upodobiają się do niego?

S.: Lecz Diotymo, powiedzieliśmy też, że tak kochający są przede wszystkim podobni do psów.

D.: A co przeszkadza, Sokratesie, żeby psy nie były podobne do boga? Czy nie słyszałeś, że Egipcjanie, którzy pod wieloma innymi względami należą do ludzi najbardziej uczonych, tak właśnie myślą i w swych świątyniach oddają cześć bogu-psu?

S.: Tak, przysięgam. A jak to jest, że Egipcjanie wielbią boga-psa, jak Hermesa, a nie Amora. Wówczas winni zatem się modlić nie tyle kochający, ile handlujący!

D.: O mądrości starodawna i naprawdę boska Egipcjan! A dlaczego, Sokratesie, handlarze ubóstwiają Hermesa?

S.: Myślą o zysku.

D.: A znów, Sokratesie, dlaczego o zysku?

S.: Ponieważ go odnoszą.

D.: Dla siebie samych, a nie dla innych?

S.: Rozumie się.

D.: Już widzisz, Sokratesie, czym miłość jest, a nawet ten rodzaj Miłości. Co myślisz, że kto wyda obola czy nawet łut perskiego złota, ażeby uzyskać względy jakiejś zwykłej istoty, nie sądzi już, że osiągnie dla siebie jakąś korzyść?

S.: Tak właśnie myślę.

D.: A zatem kto jest ponad miarę rozrzutny, nie dbając przy tym o swój własny dom i swoją własność, nie zajmując się nadto żadną rzeczą pożyteczną, a wałęsając się tylko po mieście w towarzystwie przystojniaków, czy również on nie uważa, że uzyska przy tym jakąś większą korzyść?

S.: Wydaje się, że tak uważa.

D.: A czy kto wprowadza się do czyjegoś domu, oczywiście jako złodziej, nie robi tego, nawet myśląc, że uzyska korzyść, choćby z pewnym niebezpieczeństwem?

S.: Oczywiście.

D.: A zatem? Nobliwy zysk, a być może całkiem mizerny?

S.: Na psa urok, rzekłbym najmizerniejszy, jeżeli tylko zakładasz, że to przyjemność.

D.: Wszystko to, Sokratesie, możemy jeszcze inaczej rozumieć! Ale powiedz mi jeszcze: możemy zostawić zresztą tego boga, ale utrzymujmy, wraz z twoimi filozofami, że to miłość prawdziwa i odpowiadająca mężczyznom?

S.: Diotimo, przecież już przedtem daliśmy temu spokój!

D.: I już nie powoływaliśmy się na to?

S.: Przekazaliśmy sprawę filozofom, którzy napisali już tyle eleganckich słów na chwałbę czy to młodych rozpustników, czy też łowców kobiet.

D.: A może mógłbyś mi powiedzieć, Sokratesie, gdzie najlepiej jest szukać, tak jak zgodni jesteśmy, prawdziwego Amora, Amora kogoś Drugiego, ale biorąc pod uwagę przystojniaków?

S.: Ale przecież to ja przyszedłem do ciebie właśnie w tym celu, Diotymo, żebyś mi dała wskazówki również w tej sprawie, jak i we wszystkim, co się odnosi do wiedzy o miłości!

D.: Nie wpadaj w złość, Sokratesie, ponieważ ta wiedza należy do trudnych, choć po prawdzie jest jedną pośród najpiękniejszych. Na to, o co cię pytałem, nawet filozof, lecz może nawet nikt z mężczyzn nie byłby w stanie odpowiedzieć. Ponieważ zaiste nie podejrzewałeś, że to całkiem

możliwe, iż owa wytarta fraza, zgodnie z którą „bogowie z wielką mądrością stworzyli mężczyzn i kobiety jako dwie części jednej całości”, stała się wprowadzeniem do tajemnic, które chciałbyś osiąść?

S.: To prawda, nie myślałem o tym.

D.: A jednak, Sokratesie, jest właśnie tak, że pośród wielkich istot niebiańskich i ziemskich znajdują się inne jeszcze istoty niebiańskie, posiadające jakąś część autentycznej boskości niebiańskiej, ale bynajmniej nie pozbawione całkowicie naszych ziemskich porywów, i w ten sposób stają się spokrewnione i bliskie z duchowymi esencjami, tak żywotnymi u ludzi i u zwierząt. Wśród tych esencji nasze dwie Miłości, dopiero co rozważane, nie mają bynajmniej najmniejszej władzy. Lecz naucza Epimenides, mędrzec i człowiek święty, który przez pięćdziesiąt siedem lat pogrążony był w jakimś zesłanym mu przez bogów śnie, że poznał wówczas wieczyste prawa bogów, a wraz nimi doświadczył, że w czasie świąt i zgromadzeń każdemu prawu oddaje się ogromną cześć. Jakim jest więc ten Amor? – czy tym, który jest prawdziwie Miłością Drugiego – już to uzgodniliśmy, że takiego winniśmy zwać prawdziwym Amorem – a zajmuje miejsce wśród Miłości Siebie samego? I mielibyśmy przygotowywać się do jego poznania? Jest bosko doskonały, z wyjątkiem tej jedynej niedoskonałości ludzkiej: patrząc nań wprost zasługuje na podziw, a jeszcze nad wyraz jest podobny do człowieka dorosłego, lecz jest niewidomy, obustronnie niewidomy. I chodzi nie o własnych siłach, zwykle jakaś młoda niewiasta prowadzi go za rękę, patrząc filuternie otwartymi oczyma i wdzięcząc się filuternie, uśmiecha się do każdego, kto by się przed nią nie pojawił. Ta młoda niewiasta jest samym Przypadkiem, który już wielu uszczęśliwił, a jeszcze więcej z nich uczynił nieszczęśliwymi. Jakże można zaufać równie majestatycznemu bogu o tak zwodniczym przewodniku? Lecz to zostało przed nami, śmiertelnikami, ukryte, i wszyscy widzimy, że albo rodzice, albo narzeczony wraz z rodzicami dziewczyny, tak jak to w Atenach jest zwyczajem, wybierają małżeństwo na zasadzie mądrych rachunków i długotrwałych refleksji, albo młodzi, zgodnie ze zwyczajem Sparty i innych miast, sami się ze sobą spotykają, a prędzej czy później ci bądź tamci wzajemnie się kochają. Przewodnikiem tego Amora jest też zawsze Przypadek. Ale z całą pewnością powiedzmy to sobie: jak już na wstępie mówiliśmy mężczyzna i kobieta tworzą razem doskonałą całość, a to ma znaczenie nie tylko dla przyjemności we wspólnej rozrywce albo jedynie dla produkowania i wychowywania dzieci, jak sądzi większość, lecz – Sokratesie – ma raczej znaczenie dla całego ich życia, które, jak to zarządziła natura ludzka, na zasadzie podziału

swych trudów i podwojenia swych cnót mogą przeżyć dobrze i w piękny sposób aż do końca. A więc małżonkowie należą wzajemnie do siebie mocą ich własnego życia oraz swych dzieci, jak ręce i nogi należą do tułowia. Z tego też względu Amor jest tym, jakim się kochają, równocześnie miłością siebie samego i miłością drugiego, tak jak my kochamy drogie nam nasze własne kolana z miłości samych siebie, ponieważ są dla nas pożyteczne i dla tego z Miłością do nich kochamy części samych siebie. Ten Amor jest czymś jednym i jednocześnie jest dwojaki, jak to już powiedzieliśmy. A nie rozróżniamy różnych rodzajów myślenia czy różnych dusz względem części naszego ciała, a już najmniej nie rozróżniamy ich w nas samych, jakkolwiek odczuwamy wyraźnie takie chęci. W każdym razie małżonkowie opiekują się sobą wzajemnie i są we wszystkim jakby identycznymi członkami; zaś ich Miłość tym jest piękniejsza im piękniejszy jest rozsądek w obłędzie, ponieważ równocześnie ich wspólna dusza i ich wspólny sposób myślenia stoją powyżej dwóch połowicznych części, które ich jednoczy, i, jeżeli to możliwe, ich łączy ze sobą, tak jak to się dzieje z naszymi ciałami, kiedy dusza panuje nad całością części naszego ciała. Lecz wszyscy pragną dla siebie możliwie najlepszych części ciała, a gdyby przyszło do wyboru, czy nie poświęciliby wiele czasu na to, żeby wybrać dobrze? Spróbujmy to rozważyć. Zanim jakaś przyczynowość rzuci sobie małżonków w ramiona, każdy z nich – a naturalnie życzy sobie, żeby najlepsza część jemu przypadła, jako że nasza połowiczna prawda ma znaczenie jedynie dla naszych oczu albo dla jakiejś części naszego ciała – weźmie za małżonka najlepszą kobietę lub najlepszego mężczyznę, to znaczy tego ze spotkanych przypadkowo na ulicy, który tylko pozornie jest najlepszym, jak to się zdarza od początku między kochankami, którzy mocą przypadku rzucają się sobie w ramiona, zanim mogliby cokolwiek pomyśleć. A później, kiedy mężczyzna albo kobieta wierzą, że odgadli kto byłby mężem najdoskonalszym, czy żoną najdoskonalszą w tym drugim, w mężu czy żonie bliźniego, czyż ten Amor nie dzieli się powtórnie; ten Amor, który jest zarazem Amorem siebie samego jak i Amorem drugich, a Miłość siebie samego, czyżby nie pozbawiała nas Miłości drugich – czy nie przechodzi na małżonka, który wydaje się nam najbardziej doskonały? Taki Amor jest w samej rzeczy uskrzydłony i codziennie bywa przyczyną, że słabutki Amor drugiego, co jest razem z nim, zostaje gdzieś zawleczone, a kiedy już nadmiernie osłabnie, tym częściej trzeba mu budować nowe gniazdo, podczas gdy Amor siebie samego wzmacnia się właśnie do tego stopnia, iż traci w końcu, Sokratesie, swe skrzydła i staje się Psem, który ugania się po ziemi raz w tę stronę, a raz w tamtą. Jednakże ten Amor, o którym teraz ci prawię, jest ślepy i nie widzi tego co najlepsze, raczej pozostaje na miejscu tam, gdzie go w pierwszej kolejności doprowadził bezmyślny Przypadek, urządzając się dobrze czy źle, a również ten, który został

przezeń opętany, miał również zgodnie ze swą naturą predyspozycję do ślepoty. A przeciwnie, ludzie o innej naturze nie są w stanie go tolerować. Kto jest zły czy nawet tylko obojętny, ten zrzuca z siebie tego dobrego, gdziekolwiek to się dzieje na świecie, a to z miłości do słodkiej wizji drugiego, zaś przeciw własnej woli, i tak niewidoma boskość, przynosząca ślepotę, znajduje serdeczne przyjęcie, a kiedy go zbraknie, przenosi się z miejsca na miejsce i, jak jakiś rapsod, śpiewa o szczęściu bądź o nieszczęściu.

S.: Diotymo, wyjaw mi, kim jest boski Homer.

D.: Cicho, Sokratesie! Skąd wiesz, iż to nie ów Amor, protoplasta całych rodów, który bywał na ziemi w postaci wielkiego poety? Lecz to jest sekretem, którego nie należy właśnie rozgłaszać, podobnie jak innych świętych sekretów Miłości małżeńskiej. Wystarczy to, co, Sokratesie, wiesz o Miłości, ponieważ jest to już więcej, niż to, co wie każdy laik, a w szczególności ten, kto zajmuje się filozofią, winien w ogóle wiedzieć.

S.: Tak, Diotymo, lecz nie umiem o własnych siłach uchwycić boga prawdziwie wielkiego, którego nazwaliśmy Amorem drugiego, więc chwytam za twe szaty i nie pozwolę ci odejść, zanim mnie nie oświecisz!

D.: Jesteś, Sokratesie, człowiekiem apodyktycznym, i obawiam się, że skończysz tak, jak mówi się o Midasie, że pochwycił był Silena i zmusił do mówienia...

S.: Nie zaczniesz również i ty mówić, że lepiej jest dla człowieka nie urodzić się wcale, a jeżeli jest już przy życiu – jak najprędzej umrzeć?!

D.: Może coś jeszcze gorszego, Sokratesie!

S.: Nic mi na tym nie zależy, nawet gdyby chodziło o moją własną śmierć, ponieważ w każdym razie nie potrafiłbym już dalej żyć, jeżeli teraz nie poznałbym w końcu, jakim naprawdę jest prawdziwy Amor Drugiego!

D.: Sam tego chciałeś, Sokratesie! W samej rzeczy musisz wiedzieć, że ten Amor jest tak wielkim

bogiem, a między wszystkimi bogami należy do tych, których głównie należy czcić i uwielbiać. Posiada władzę prawdziwego wznoszenia człowieka z ziemi i przybliżania go do domostwa bogów, promiennego i z widokiem na świat cały, a nawet do otworzenia jego duszy na przyjęcie boskiej siły, jak gdyby była kroplą nektaru, lecz w pełnej jasności i zaprawdę w poczuciu pełni. Nikt nie może w tym uczestniczyć, nawet mężczyźni i kobiety o najmiłszej naturze, a jeżeli nawet uczestniczą w czymś zbliżonym do tego Amora godnego podziwu, to może się to zdarzyć tak rzadko i na tak krótki czas, że u tych szczęśliwców w całości życia ludzkiego – licząc, ile dni przypada na miłość od młodości począwszy, do późnej starości – może moglibyśmy się doliczyć tylko połowy jednego miesiąca. Zachniesz się, Sokratesie, lecz wygląda na to, że zarówno Sileno, jak i tak rozumny Sofokles nauczają tego samego, i mają rację, utrzymując, że, biorąc wszystkich bogów nieprzychylnych ludziom, jedynie tego boga możemy uznać za filozofa. Lecz w tej chwili nie wznosimy innych śpiewów pogrzebowych, a tylko śpiew Amora, który ze wszystkich jest najbardziej bolesny.

Dlaczego ty, boski Amorze, jakiego znamy i w którego wierzymy, że jest prawdziwym Amorem Drugiego, nigdy nie zamieszkałeś przytulnie wśród ludzi? Poeci opowiadają nawet, że gdzie się znalazłeś, tam mężczyźni i kobiety byli całkowicie przepojeni tobą, a ze śladów ich stóp płynęły strugi miodu, mleka i wina, które zalewały całą Ziemię i zalewały też boga darami o niepomiernie większej wartości – prawdą, dobrem, a nawet pięknem. Ludzie najpierwotniejsi, jak ci ukształtowani z gliny, wędrowali z początku pozbawieni ognia, dniem i nocą po lasach, włochaci i ze względu na własny gigantyczny wzrost wywoływali na swój widok bardziej przerażenie niż zachwyty, jednak połączywszy się w tym Amorze, wydali na świat potomków cudownie pięknych i z pokolenia na pokolenie coraz od nich piękniejszych i coraz bardziej podobnych do bogów. Tak więc, boski Amorze, przyniosłeś do nas epokę złota i piękna, bez której nawet świat jeszcze bogatszy i obsypany przez bogów darami jeszcze droższymi pozostałby opustoszały i zasmucony. A co powiemy o protoplaście piękna, prawdy i dobra, kiedy się ma takich synów i kiedy są oni w stanie przetworzyć nawet zupełnie nie do zniesienia i nieopłakane życie człowieka na złoty wiek? Rzeczywiście ci, których oświadczyłeś, Amorze Drugiego, ci przede wszystkim nie uznają kochanego przez się za jakąś istotę pozaziemską, ani piękniejszą, ani bardziej wartościową, niż jest w rzeczywistości. To właśnie jest twoim pierwszym, prawdziwym boskim darem, którym otwierasz oczy na prawdziwy widok tym, którzy mogą go teraz podziwiać tak, jak został przez bogów stworzony, w całej swej powadze albo jako jakąś grę, w jakiejś cudownej nieskończonej różnorodnej sztuce, może nawet dla oczu ludzi niepozbawionych niedoskonałości, niemniej zawsze

w świetle prawdy bardziej zachwycającej niż wszelka sztuka poetycka. A później do tego, który dojrzał swoją miłość prawdziwą, a nie tylko wyobrażoną, przechodzi tyle dobra, a za jego pośrednictwem do wszystkich innych na świecie, że pozbawiony nawet najmniejszej miłości siebie samego, może poświęcić już wszystko, co posiada i do czego jest zdolny, nawet siebie samego. Mimo to nie traci nic ze swej wolności, wprost przeciwnie, człowiek staje się bardziej wolny, w miarę jak powiększa się jego dobroć, ponieważ ona się rodzi z uznania prawdy. A kto jest wolny, nawet jeśli weźmiemy króla, jak nie ten jedynie, który postrzega prawdę miast złudnych omamów? Tak więc to za twoją sprawą, boski Amorze Drugiego, że oni kochają się wzajemnie, ci znawcy prawdziwej istoty tego drugiego, oddani towarzysze życia, w swej mądrości dobroczyńcy ludzkości, duchy wolne, królowie, twórcy świata pięknych dzieci.

A teraz, jednakże – prześladowani jesteśmy przez los, a może też i niepozbawieni winy, ponieważ, jak mówi się, nie czekaliśmy, aż za sprawą twojej władzy upodobnisz nas w pięknie, w mądrości i w dobru do wielkich bogów, a raczej nierozważnie i zarozumiale chcieliśmy w pierw współzawodniczyć z nimi; żyjemy zatem, od kiedy nas opuściłeś, bez ciebie, wraz z tobą zniknęła już nasza dawna szczęśliwość, nasza mądrość i nasza wolność, a na twoim miejscu panuje nad śmiertelnikami Amor nas samych w dziesięciu tysiącach postaciach, odrażająco, w pełnym fałszu i perfidii. Nie ma już dla ciebie miejsca, na które mógłbyś zstąpić z nieba, ponieważ wszędzie musiałbyś walczyć z oszalałym i dzikim Amorem Siebie samego, który oczywiście nie może ci zaszkodzić, ale ty kochasz pokój i wolisz przebywać wśród szczęśliwych śmiertelników. Przeróżający jest los ludzi, ponieważ bogowie, którzy zrazu rozsiewali wśród nich dary, starając się w taki sposób dorównać Prometeuszowi, oddalili się od nich rozczarowani, zaś z ich powodu musiał odbyć pokutę również sam wielki Tytan. A najbardziej przerażające jest w tym losie to, że ty już nie powrócisz, boski Amorze Drugiego!

Ale nawet gdy jest tak, mimo iż nie osiedlasz się na ziemi, raz po raz, podczas swego lotu, to tu to tam stawiasz swoją stopę, a wówczas kwiaty wypuszczają pączki na tych śladach, dla ciebie rosną święte lasy, a kto dojrzy tam drogiego mu człowieka, na chwilę go zobaczy w boskim świetle prawdy i zakocha się w aurze dobroci, zrodzonej w poznawaniu prawdy – i tak aż do czasu, kiedy Amor Siebie samego nie otuli go szybciej od myśli jakby ciemnym cieniem i nada jego twarzy stosowny wyraz dla człowieka rzeczywiście wolnego i mądrego. Tak kochający, szczęśliwy, również teraz, w tych nielicznych chwilach, jest podobny do boskiej istoty, która wie wszystko i jest całkowicie dobra – jako że nie może być nieszczęśliwą, kiedy ją pobudzają twe unoszące skrzydła, o boski Amorze, który na tej zimnej ziemi nas pozostawiasz i opuszczasz na pastwę uśmiechniętego

Amora Siebie Samego i lecisz ku swemu niebiańskiemu domowi, rozsiewając po drodze nieśmiertelność. I oby mieli rację ci, którzy utrzymują, że również człowiek może dotrzeć dalej niż śmierć, jeżeli przez całe swe życie oczekiwał ciebie, ponieważ wśród wszystkich wielkich, jacy odeszli od nas, opłakiwaliśmy przede wszystkim ciebie, *w naszym zasmuconym sercu*, i w samej rzeczy nikt nie był takim jak ty, a tyle nam dałeś darów, tak słodkich i tak nam drogich.

S.: O Diotymo, jakże przejmująco i cudownie opłakałaś Amora i o innych rzeczach mówiłaś z taką mądrością! Bądź teraz wspaniałomyślną i pozwól, żebym i ja mógł opowiedzieć wszystko to, dla nauki bądź z nadzieją, że twoimi ostatnimi słowami rzuciłaś światło nie tylko uczonym, lecz również kochającym.

D.: Z przyjemnością, Sokratesie, chociaż dobrze to wiesz, że wiele musiałam zmienić, a wszystko to wedle twoich upodobań.

Młodzieniec przerwał tu czytanie, a ja, zapomniawszy się trochę, wykrzyknąłem: „Ta boska kobieta, jak dobrze mnie znała”. Usłyszawszy to, pozostali wybuchli śmiechem i wszyscy podnieśliśmy się z krzesel.

Przełożył Michał Bristiger